

PRZESWIT

ROK IV ŁÓDŹ ~ LIPIEC 1985

Adam Sarne

SPRZENIEWIERZENIE adwokackiej SOLIDARNOSCI

Szykanowana przez całe czterdziestolecie PRL adwokatura podniosła głowę dwa razy. Krótki epizod po Październiku '56 skończył się szybko, tak jak cała popaździernikowa odwilż. Nadzieje na samorząd zawodowy, zakładający przecież z definicji jakieś quantum procedur demokratycznych, rozwiały się wraz z ustawą o ustroju adwokatury z 1963 r. W teorii i praktyce sprawdzono wówczas adwokaturę do roli "współczynnika wymiaru sprawiedliwości", zaś jej samorząd usytuowano gdzieś między komisarycznym zarządem a akklamacją dla uzgodnionych w komitetach partii kandydatów. Nawet w stosunku do tak pojętego samorządu minister sprawiedliwości posiadał daleko idące uprawnienia zwierzchniego nadzoru pozwalające mu zakwestionować każdą uchwałę, zawiesić w sprawowaniu funkcji każdego członka samorządu "ze względu na interes społeczny", zawiesić adwokata, który "nie dawał rękojmi" i wyjąć na samorządzie jego skreślenie z listy adwokatów.

Powtórka z demokracji

Drugi raz adwokatura podniosła głowę po Sierpniu 80. "Dzisiaj prostujemy plecy" - mówiono z trybuny Ogólnopolskiego Zjazdu Adwokatów, który odbył się w Poznaniu w dniach 3 i 4 stycznia 1981 r. Zjazd Poznański był zjazdem obrachunkowym. Dokonano na nim bilansu nieprawości nie tylko w stosunku do adwokatury, ale wystawiono wiarygodne i kompetentne świadectwo socjalistycznemu prawu i socjalistycznej praworządności. Świadectwo to było zgodne z odczuciami całego bez mała społeczeństwa. W ten właśnie sposób adwokatura z tolerowanego z konieczności elementu sali sądowej, z pozostałości po burzawicznej koncepcji państwa, które stworzyło możliwość, aby w sporze z obywatelem istniał fachowy pośrednik, w ten właśnie sposób adwokatura przypomniawszy, że nie ma niezawisłego sądownictwa i nie ma sprawiedliwości i praworządności bez niezawisłej adwokatury.

Poza rachunki sumienia, naprawieniem części krzywd, które zdarzyły się w adwokaturze przez minione lata dwadzieścia, zadanie Zjazdu Poznańskiego zarysowało się jasno: zainicjowanie nowego prawa o adwokaturze, które uczyniłoby zadość uprawnionym ambicjom zawodu i było zgodne z zawodu tego powołaniem. Takie prawo, które odpowiadałoby na społeczną potrzebę odważnej i bezkompromisowej obrony nie tylko obywatela-przestępcy, ale i obywatela krzywdzonego przez państwo i obrony tej jakże często pozbawionego. Jednym słowem chodziło o takie prawo o adwokaturze, w ramach którego demokratycznie wybrany i demokratycznie działający samorząd broniłby każdego adwokata zarówno przed dyskretnym partyjnym naciskiem, jak i pośrednim finansowym szantażem ze strony państwa.

Taki projekt został opracowany przez Komisję Legislacyjną wykonaną na Poznańskim Zjeździe już w marcu i złożony w Sejmie w maju 1981 r. Wskutek rozmaitych zakulisowych zabiegów, przed 13 grudnia nie doszło do uchwalenia projektu. Władze, przygotowujące już wówczas zbrojne uderzenie w społeczeństwo i jego dążenia, zdawały sobie jasno sprawę, czym byłoby usankcjonowanie niezawisłości adwokatury. Postanowiono więc zwlec sprawę, po drodze dokonując w projekcie szeregu istotnych zmian.

Kiedy natomiast w maju 1982 r., w rozkwicie nowej formy socjalistycznego ludowładztwa, jaką był bez wątpienia stan wojenny, władze zdecydowały się na wniesienie projektu na posiedzenie Izby, od głosu wstrzymali się wszyscy z wyjątkiem jednego /sędzi. Czeszejko-Sochacki/ adwokaci - posłowie. Był to bowiem już inny projekt. O projekcie poselskim arcyfornie wyraził się z trybuny sejmowej poseł referent Adam Kopatka: "... projekt prawa o adwokaturze w wersji złożonej do łaski marszałkowskiej był zbyt jednostronnie ukierunkowany przez idee samorządności oraz nasycony brakiem zaufania do rządu...".

STR. 3.

Kazimierz WIERZYŃSKI

NA DZIEŃ ZWYCIEŚTWA

Kiedy w jaskini zbójców kruszyły się ściany,
Herszt chował się po bunkrach, a Berlin do kolan
Uginał się moskiewskich, przez łeb porąbany,
I dyktatora wieszal za nogi Mediolan -

Czyś ty nie zląkł się wtedy, żołniersu wytrwały,
Własnej krwi, że po dzień ów z twych żył rozlewana,
Nie przyda się wolności, nie doda jej chwały
I tylko do nóg spłynie nowego tyrana!

Spojrzyj na twoje miasta, na flagi, na domy
I na tłum, co się zebrał, by śpiewać w ten wieczór
I by tańczyć na placach? On nagle coś przeczuł,
Zatrzymał się w pochodzie i tak nieruchomy
Długo stał w zapamiętaniu i rzedniał w swej gestwie
Aż rozszedł się, milczący, po takim zwycięstwie.

I tylko lotnik w górze trzepotał się srebrny,
Gołąb wojny szaleńczej, wojny niepotrzebnej.

I tylko w polach krzyże świadczyły człowiecze,
Kości legły na próżno, ugięty się miecze.

HANNAH ARENDT: PROPAGANDA

TOTALITARNA

Jednym rozmachem totalitaryzm może pociągnąć tylko motloch i elitę, masy musi pokonać propaganda /1/.
W warunkach rządu konstytucyjnego i wolności opinii, ruchy totalitarne mogą stosować w walce o władzę terror jedynie w ograniczonej skali, bo, podobnie jak inne partie, muszą pozyskiwać zwolenników, budzić zaufanie społeczności, która nie została jeszcze drastycznie odcięta od wszystkich innych źródeł informacji.

Już wcześniej dostrzeżono i stwierdzono, że w państwach totalitarnych propaganda i terror stanowią dwie strony tego samego medalu /2/. Jest to jednakże tylko w części prawdziwe. Gdziekolwiek totalitaryzm posiada absolutną kontrolę, zastępuje propagandę in-doktrynacją i stosuje przemoc nie w tym celu, by przestraszyć ludzi /tak czyni tylko w początkowych stadiach, gdy jeszcze istnieje opozycja polityczna/, jak po to, by ustawicznie realizować swe ideologiczne doktryny i praktyczne kłamstwa. Totalitaryzm nie zadowolili się - wręcz faktem - stwierdzeniem, że bezrobocie nie istnieje; do zadań jego propagandy należało usunięcie wszelkich zalet bezrobocia. Równie ważny jest fakt, że brak uznania bezrobocia rzeczywistnie - wprawdzie w nieoczekiwany raczej sposób - stara socjalistyczną doktrynę: kto nie pracuje, nie będzie jadł. Albo inny przykład: Stalin zarządził przepisanie historii Rewolucji Październikowej, ale propagowanie jej nowej wersji polegało na unicestwieniu, wraz ze starymi książkami i dokumentami, ich autorów i czytelników. Wydanie w 1938 roku nowej historii partii komunistycznej było sygnałem, że superczytka, która zdziesiątkowała całą generację sowieckich intelektualistów, dobiegła końca. Podobnie naziści na okupowanych wschodnich terenach z początku stosowali głównie propagandę antysemitką dla osiągnięcia kontroli nad ludnością. Nie potrzebowali na razie stosować terroru dla wsparcia tej propagandy. Likwidując większą część polskiej inteligencji, nie czynili tego z powodu jej opozycyjnej postawy, lecz dlatego, że - zgodnie z doktryną - Polacy nie posiadali intelektu. Ale kiedy hitlerowcy planowali wywózkę niebieskookich i jasnowłosych dzieci, to nie dla propagandowego postrachu, ale dla podtrzymania germańskiej krwi /3/.

Ponieważ ruchy totalitarne istnieją w świecie, który sam w sobie jest nietotalitarny, uciekają się do tego, co uważa się powszechnie za propagandę. Taką propagandą apeluje zawsze do sfery zewnętrznej - czy to będzie nietotalitarna warstwa populacji we własnym kraju, czy nietotalitarne obce kraje. Ta sfera może się zmieniać, nawet po zagnaniu władzy propagandą totalitarną zwraca się do tych grup własnej populacji, które po podporządkowaniu nie zostały wystarczająco zindoktrynowane. W tym sensie np. przemówienia Hitlera do swoich generałów podczas wojny są prawdziwymi modelami propagandowymi, charakteryzującymi się piramidalnymi kłamstwami, którymi fuhrer

PRZESWIT

str.1

rozbawiał swych gości usiłując ich pozyskać /4/. Do sfery zewnętrznej mogą należeć grupy sympatyków, którzy nie są jeszcze przygotowani do przyjęcia prawdziwych celów ruchu; wreszcie zdarza się często, że nawet członków partii kręgi bliskie fuhrerowi uważają za sferę zewnętrzną. Propaganda ma ich na trwałe podporządkować.

By nie przeceniać ważności kłamstw propagandy, mógłby ktoś przytoczyć znacznie więcej przykładów, w których Hitler był zupełnie szczerzy i brutalnie niedwuznaczny w określaniu prawdziwych celów ruchu, tyle że nieprzygotowana społeczność nie mogła ich nie przyjąć/5/.

Mówiąc zasadniczo, totalitarna dominacja usiłuje ograniczyć metody propagandy wyłącznie do swej polityki zagranicznej lub do pewnych odłamów ruchów politycznych za granicą, aby je zasilać odpowiednimi materiałami; kiedy totalitarna indoktrynacja popada u siebie w konflikt z linią propagandy na użytek zagranicy /co stało się w Rosji podczas wojny, nie wtedy, kiedy Stalin zawarł sojusz z Hitlerem, ale kiedy wojna z Hitlerem rzuciła go do obozu demokracji/, propagandę wewnętrzną tłumaczy się jako "doraźny manewr taktyczny" /6/. Do rozróżnienia pomiędzy doktryną ideologiczną dla wtajemniczonych, którzy obywają się już bez propagandy, i niezafałszowaną propagandą na użytek świata zewnętrznego ustala się - w możliwie najwyższej mierze - już na etapie istnienia ruchu przed zdobyciem władzy. Relacja pomiędzy propagandą a indoktrynacją zależy zazwyczaj od wielkości ruchów z jednej strony i zewnętrznego nacisku z drugiej. Im mniejszy ruch, tym więcej energii wydatkuje na zwykłą propagandę; im większy nacisk na reżimy totalitarne ze strony świata zewnętrznego - nacisk, który nawet za żelazną kurtyną nie może być całkowicie ignorowany - tym aktywniej zaangażują się w propagandę totalitarni dyktatorzy. Faktem jest, że potrzebę propagandy dyktował zawsze świat zewnętrzny, a same ruchy w rzeczywistości nie propagują, lecz indoktrynują. I na odwrót - indoktrynacja, nieuchronnie związana z terrorem, wzmacnia się wraz z siłą ruchów lub izolacją rządów totalitarnych oraz zabezpieczeniem przed wpływami z zewnątrz.

Propaganda jest rzeczywiście istotną częścią "wojny psychologicznej", ale terror czymś więcej. Stosowany ciągle przez totalitarne reżimy, nawet po osiągnięciu swych celów psychologicznych, służy groźbie, by panować nad ujarzmionym ludem. Tam, gdzie funkcjonowanie terroru doprowadzone jest do perfekcji, jak w żagrach, propaganda znika doszczętnie; w Niemczech nazistowskich została wręcz zakazana.

Propaganda, innymi słowy, jest jednym i prawdopodobnie najważniejszym instrumentem, którym totalitaryzm radzi sobie z nietotalitarnym światem. Terror natomiast jest samą esencją formy rządów totalitarnych. Jego istnienie zależy również mało od psychologicznego czy innych subiektywnych czynników, jak panowanie prawa w konstytucyjnie rządzonym państwie zależy od ilości ludzi, którzy je kamią.

Terror, jako odpowiednik propagandy, odgrywał większą rolę w nazizmie niż w komunizmie. Nazisci nie uderzali w czołowe postaci, jak to zdarzyło się we wcześniejszych fall politycznych zbrodni w Niemczech /zabójstwo Rathenau i Erzbergera/, natomiast zabijając niskich funkcjonariuszy socjalistycznych lub wpływowych członków partii opozycyjnych, próbowali wykasować ludności, jakie niebezpieczeństwo wiąże się ze zwykłym ich członkostwem. Ten rodzaj masowego terroru, wciąż istniejącego we względnie małej skali, różni systematycznie, ponieważ ani policja, ani sądy nie sołgały naprawdę tych, którzy dokonywali politycznych wykroczeń na tzw. prawicy. Cenne było to, co nazisci nazywali "propagandą siły". Dawała ona jasno do zrozumienia większości społeczeństwa, że siła nazistów była większa niż władzy oraz że bezpieczniej było być członkiem paramilitarnej organizacji nazistowskiej niż lojalnym republikaninem. To wrażenie było silnie wzmacniane użytkiem, jaki ze swych politycznych zbrodni robili nazisci. Zawsze oto przyznawali się do nich publicznie, nigdy nie usprawiedliwiali "ekscesami niższych klas", co wywoływało pożądane wrażenie, że różnią się znacznie od "jakowegoś gadulstwa" innych partii.

Zbyt oczywiste są podobieństwa pomiędzy tym rodzajem terroru i gangsterstwem; by o nich mówić. Nie oznacza to, że nazizm był gangsterstwem, jak to się niekiedy stwierdza. Nazisci, nie przyznając się do tego, uczyli się tyle samo od organizacji amerykańskich gangsterów, co od amerykańskiej reklamy biznesu.

Propagandzie totalitarnej bowiem ważniejsze od bezpośrednich grób i zbrodni wymierzonych przeciwko

jednostce jest stosowanie pośrednich, zawaolowanych i wypełnionych pogrozkami sugestii przeciwko wszystkim, którzy się nie podporządkują, nawet gdy trzeba będzie usprawiedliwiać masowe mordy popełnione na "winnych" jak i "niewinnych". Komunistyczna propaganda natomiast straszy ludzi spóźnieniem się na pociąg historii, pozostaniem bez nadziei w tyle za swoim czasem, spędzaniem bezużytecznie swojego życia; podobnie nazisci straszą życiem na przekór prawom natury, nieodwracalnym i tajemniczym zepsuciem krwi. Silny nacisk totalitarnej propagandy na "naukowy" charakter jej twierdzeń jest porównywalny z pewnymi technikami reklamowymi, również adresowanymi do mas. Podobnie jak z gazetowych ogłoszeń, dzięki którym wytwórcy postępując się faktami i liczbami-dowodzi, że jego mydło jest "najlepsze na świecie".

Obsesja "naukowych" dowodów w ruchach totalitarnych znika najczęściej z chwilą dojścia do władzy. Nazisci dymisjonowali nawet uczonych, którzy chcieli im nadal służyć, a bolszewicy wykorzystują reputację swoich naukowców do zupełnie nienaukowych celów i zmuszają ich do pełnienia roli szarlatanów.

Na tym kończą się podobieństwa pomiędzy masową reklamą i masową propagandą. Ludzie interesu nie pozwalają zazwyczaj na pforoków i nie demonstrują nieustannie słuszności swych przepowiedni. Naukowość totalitarnej propagandy charakteryzuje się ciągłym naleganiem na naukowe proroctwo, co rozpoznać można w jej odwoływaniu się do przeszłości. Ideologiczne źródło socjalizmu i rasizmu rozpoznaje się najłatwiej wtedy, kiedy ich rzecznicy rzekomo odkrywają ukryte siły, które zyskują na dobre życie ludzi kańczuchy nieszczęść. Dlatego Stalin uczył: "Im większy posiadziemy wgląd w materializm dialektyczny, tym większy będzie nasz sukces". To ilustruje również pojęcie "właściwego przywództwa" - wg Stalina.

Totalitarna propaganda podniosła ideologiczną naukowość i jej metodę produkowania oświadczeń w formie przepowiedni do rangi sprawności metody i absurdalności treści, ponieważ trudno o lepszy sposób uniknięcia dyskusji niż ucieczka przed weryfikacją argumentów współcześnie i opowiadanie, że jedynie przyszłość przyzna rację. Ale totalitarna ideologia nie wymyśliła tej metody i nie one jedynie ją stosowały. Naukowość masowej propagandy była istotnie tak uniwersalnie wykorzystywana we współczesnej polityce, że widziałem w niej oznakę owej obsesji nauki, która charakteryzowała Zachód począwszy od renowacji matematyki i fizyki w szesnastym wieku. Totalitaryzm zatem wydaje się być ostatnim etapem procesu, w którym "nauka stała się idealem cudownie leczącym zio egzystencji i przekształcającym naturę człowieka". Naukowość wiązała się z rozrostem mas. "Kolektywizm" zatem mas był witalny przez tych, którzy wypatrywali z nadzieją "naturalnych praw historycznego rozwoju", eliminujących nieprzewidywalność działań i zachowań jednostki. Cytoowano przykład infantina, który przeczuwał nadchodzący czas, kiedy sztuka pobudzania mas będzie tak rozwinięta, że malarz, muzyk i poeta posiadą moc przypodobania się i wzruszenia równą pewności, z jaką matematyk rozwiązuje problem geometryczny, albo chemik analizuje dowolną substancję. Przyjmuje się, że to wtedy właśnie narodziła się współczesna propaganda.

/1/ Autorka rozróżnia motłoch i masy: "Zasadniczo motłoch jest tłumem złożonym z mętów społecznych ze wszystkich klas. Dlatego tak łatwo pomylić motłoch z ludem /people/, również składającym się ze wszystkich warstw społeczeństwa. Gdy lud we wszystkich wielkich rewolucjach walczy o prawdziwą reprezentację, motłoch zawsze będzie wołał o mocnego człowieka, "wielkiego wodza". Motłoch nienawidzi społeczeństwa, do którego nie należy, i parlamentu, gdzie nie jest reprezentowany /s. 107 "The People and the Mob"/... masy nie są zespolone świadomością wspólnego interesu i brak im tej szczególnej klasowej artykulacji, wyrażającej się w jasnych /precyzyjnych/, ograniczonych i osiągalnych celach. Terminu masy możemy używać tylko wtedy, gdy mamy do czynienia z ludźmi, którzy - czy to z powodu ich liczby, czy indyferentności, czy też kombinacji obu tych czynników - nie mogą połączyć się w żadną organizację opartą na wspólnym interesie, partie polityczne lub miejski samorząd, lub organizacje zawodowe, lub też związki zawodowe. Potencjalnie istnieją w każdym państwie tworząc większość spośród tych wielu neutralnych, obcytanych politycznie ludzi, którzy nigdy nie przystąpią do partii i niechętnie udają się do urn wyborczych /s. 311 "The Masses" - przyp. tłum./.

/2/ Patrz: np. E. Kohn-Bramstedt "Dictatorship and Political Police: The Technique of Control by Fear", Londyn 1945 s. 164. Wyjaśnienie jest następujące: "terror bez propagandy straciłby w wielkości

na psychologicznym znaczeniu, natomiast propagandzie bez terroru brak pełnej siły przebiecia" /s. 175/. Tym, co przeczą się w tych lub podobnych stwierdzeniach, które zwykle są kręceniem się w kółko, jest fakt, że nie tylko propaganda polityczna, lecz cała współczesna masowa komunikacja zawiera elementy grozy; że - z drugiej strony - terror może być całkiem skuteczny bez propagandy, jeśli jest jedynie kwestią zwykłego politycznego terroru tyranii. Wtedy tylko, gdy rolę terroru nie miałyby być li tylko zniewalanie od zewnątrz, lecz - jak to się działo - od wewnątrz, gdy režim polityczny chciał czegoś więcej niż władzy, terror potrzebował propagandy. W tym sensie nazistowski teoretyk, Eugen Hadamovsky, mógł powiedzieć w "Propaganda und nationale Macht", 1933: "Propaganda i gwałt nigdy nie są przeciwieństwem. Stosowanie gwałtu może być częścią propagandy" /s. 22/.

/3/ Tak zwana "Operation May" rozpoczęła się dekretem datowanym 16 lutego 1942 przez Himmlera "dotyczącym /osobników/ rasy germańskiej w Polsce" zastrzegającym, że ich dzieci winny być wysłane do rodzin, "które chcą je przyjąć bez zastrzeżeń, bez miłości, z powodu płynącej w nich dobrej krwi" /Dokument Norymberski R 135, sfotografowany przez Centre de Documentation Juive, Paris/. Wydaje się, że w czerwcu 1944 Dzielwiata Armia rzeczywiście porwała 40 000 do 50 000 dzieci, po czym przewiozła je do Niemiec. Raport w tej sprawie, wysłany do Sztabu Generalnego Wehrmachtu w Berlinie przez człowieka zwanego Brandenburg, wspomina o podobnych planach na Ukrainie /Dokument PS 031 opublikowany przez Leona Poliakov w "Breviaire de la Haine", s. 317/. Sam Himmler parokrotnie nawiązywał do tego planu. /Patrz: "Nazi Conspiracy and Aggression" Office of the United States Chief of Counsel for the Prosecution of Axis Criminality, US Government, Washington, 1946, III, 640, który zawiera wyjątki z przemówienia Himmlera w Krakowie w marcu 1942; patrz: również komentarze odnoszące do przemówienia Himmlera w Bad Schachen w 1943 w Kohn-Bramstedt, op. cit., s. 244/. Jak następował wybór tych dzieci, można stwierdzić na podstawie zaświadczeń medycznych wystawionych przez II Wydział Medyczny w Mińsku 10 sierpnia 1942: "Badanie rasowe Natalii Harpf, urodzonej 14.08.1922 wykazało normalnie rozwiniętą dziewczynę o dominującym typie wschodnio-bałtyckim z cechami nordyckimi" - "Badanie Arnolda Cornies, ur. 10.02.1930 wykazało normalnie rozwiniętego chłopca dwunastoletniego o dominującym typie wschodnim z cechami nordyckimi". Podpis: N.Wc. /Dokument w archiwach Żydowskiego Instytutu Naukowego, New York, Nr Occ E 3a - 17/. Patrz: Poliakov, op. cit., s. 321 i Dokument NO 2472 odnoszące do eksterminacji polskiej inteligencji, która, w opinii Hitlera, można by "wymazać bez skrępowań".

/4/ Patrz: "Tischgespräche" Hitlera. Latem 1942 mówi on wciąo /wykopaniu/ nawet ostatniego Żyda z Europy /s. 113/ i osiedleniu Żydów na Syberii lub w Afryce /s. 311/, lub na Madagaskarze, podczas gdy w rzeczywistości zdecydował o "ostatecznym rozwiązaniu" już przed inwazją nad Rosję, prawdopodobnie w 1940, i rozkazał stawić pięć gazowców u schyłku 1941 /patrz: "Nazi Conspiracy and Aggression, II, s. 265 ff; III, s. 783 ff. Dokument PS 1104; V. s. 322 ff, Dokument PS 2605/. Himmler wiedział już na wiosnę 1941, że "Żydzi muszą być eksterminowani do ostatniego człowieka do końca wojny. Jest to niedwuznaczne pragnienie i rozkaz Fuehrera" /Akta Kerstena w Centre de Documentation Juive/.

/5/ W związku z tym istnieje bardzo ciekawy raport, datowany 16.07.1940, dotyczący dyskusji w kwatery Fuehrera w obecności Rosenberga, Lammersa i Keitla, którą Hitler rozpoczął od przedstawienia następujących "głównych zasad": "Było teraz istotne, aby nie popisywać się naszym ostatecznym celem przed całym światem; ... Zatem nie powinno być od razu widoczne, że /dekrety na rzecz utrzymania pokoju i ładu na terytoriach okupowanych/ zmierzają do ostatecznego rozwiązania. Wszystkie niezbędne kroki - egzekucje, przesiedlenia - mogą i będą przeprowadzane bez względu na to". Po tym nastąpiła dyskusja, w której nie brakuje nawiązywania do słów Hitlera, i w której nie brakuje udziału. W sposób oczywisty nie został on "zrozumiany" /Dokument L 221 w Centre de Documentation Juive/.

/6/ O tym, że Stalin ufał, iż Hitler nie zaatakuje Rosji - patrz: Isaac Deutscher "Stalin: a Political Biography" New York i London, 1949, s. 454 ff, a zwłaszcza przypisek na s. 458: "Jedynie w 1948 Szef Państwowej Komisji Planowania, wice-premier N. Wozniesiński wyjawiał, że plany gospodarcze na trzeci kwartał 1941 oparte na założeniu pokoju; oraz, że nowy - na czas wojny - plan nazkirowano tuż po wybuchu wojny". Przepuszczenia Deutschera

zostały teraz w pełni potwierdzone dzięki raportowi Jhruszczowa w sprawie reakcji Stalina na atak Niemców na Związek Radziecki. Patrz jego "Przemówienia o Stalinie" na XX Zjeździe udeostępnione przez Departament Stanu, New York, "Times" 5 czerwca 1956.

— Tłumaczył dla "Prześwitu" Piotr Głomski
Fragment książki "Origins of totalitarianism" /"Zródła totalitaryzmu" / 1956.

SPRZENIEWIERZENIE.

STR. 1.

Nowe prawo o adwokaturze znacznie jednak różniło się od ustawy z 1963 r. Minister sprawiedliwości stracił większość nadzorczych uprawnień, a adwokatura podlegała już Radzie Państwa, jej składającą coroczne sprawozdania. W sposób jasno określono powołanie adwokatury. Artykuł 1. prawa stanowił bowiem: "... Adwokatura powołana jest do udzielania pomocy prawnej, współdziałania w ochronie praw i wolności obywatelskich oraz w kształtowaniu i stosowaniu prawa...". Było to odejście od minimalizującej rolę adwokatury koncepcji "współczynnika wymiaru sprawiedliwości" i wyraźne stwierdzenie jej funkcji publiczno-prawnych.

Nowe prawo ustanowiło Krajowy Zjazd - demokratycznie wybierany, reprezentatywny najwyższy organ środowiska. Pierwsze od ponad czterdziestu lat zapisane w ustawie demokratyczne forum kreujące władze naczelne. Zjazd Poznański był bowiem wyrazem niezawisłej woli adwokatury, instytucją nie przewidzianą przez ustawę z 1963 r.

Pierwszy Krajowy Zjazd Adwokatury zwołany na mocy nowego prawa odbył się w Warszawie w dn. 1-3 października 1983 r. Był to zjazd umiaru i kompromisu, ale jednocześnie zjazd, na którym drogi do ugody narodowej szukano nie w bezkrytycznej akceptacji ówczesnej polityki władz, a starano się raczej wskazywać jej nieskuteczność dla rzeczywistego porozumienia. Stąd z trybuny zjazdowej stanowczo, ale bez demagogii - którą zarzucano później bez wykazywania, jak zwykle, konkretnie - domagano się realizacji tych praw obywateli i narodu, które nawet władze stanu wojennego ustawicznie deklarowały. Kłamstwo, pustostawie czy nowomowa były na tym najwyższym forum adwokatury polskiej nieobecne, jako że ci, którzy skutecznie posługiwali się nimi, byli na Zjeździe w przytłaczającej mniejszości.

Demokratycznie wybrani delegaci na Zjazd, demokratycznie wybrali nowe władze. Prezesem naczelnym Rady Adwokackiej, wbrew usilnym zabiegom poprzedniego prezesa, prof. Kazimierza Buchały, została adw., dotychczasowy wiceprezes NRA, Maria Budzanowska, posłanka na Sejm, która rok wcześniej głosowała przeciwko rozwiązaniu "Solidarności".

Powtórka z samorządności

Przed nowymi władzami samorządu adwokackiego już u progu kadencji zaczęły piętrzyć się trudności. Wiele było nie załatwionych spraw, w tym kwestia taryfy opłat za czynności adwokackie nie zmienianej od lat. Koszty administracyjne zespołów adwokackich wobec szalejącej inflacji rosły szybko i osiągały 60 proc. wpływów.

Stopniowa pauperyzacja adwokatury leżała w zamierzeniu władz, które w ten sposób pragnęły zdyscyplinować nie zawsze pokorne środowisko. To był czas setek obron politycznych, czas w którym sale sądowe zamieniały się w trybuny oskarżycielskie państwa zakazującego obywatelom w życiu publicznym wszystkiego poza posuszeństwem. W państwie stanu wyjątkowego rola obrony jest wyjątkowa, co nie pozostawało bez wpływu na stosunek władzy do adwokatów.

Sięgnięto więc po cały pakiet nacisków i represji. Od konfidencjonalnych wezwań do wojewódzkich urzędów spraw wewnętrznych, poprzez wnioski o wszczęcie postępowania dyscyplinarnego, zawieszenie adwokatów w czynnościach zawodowych z pogwałceniem obowiązujących przepisów, bezprawne odbieranie adwokatom broniących w kolegiach ds. wykroczeń legislacji adwokackich /znany jest przypadek podarcia pełnomocnictwa klienta przez przewodniczącego składu kolegium na sali i wyrzucenie z niej adwokata/ po środki represji dotąd nie spotykane. A więc przeszkanka w mieszkaniach adwokatów połączone z zabieraniem akt prowadzonych przez nich spraw, włamania do zespołów adwokackich, w wyniku których ginęły akta drażliwych spraw, przymusowe doprowadzanie adwokatów bezpośrednio po widzeniach z klientami do USW i tam poddawanie ich upokarzającym rewizjom osobistym. Ukoronowaniem - jeśli można tak powiedzieć - tych wszystkich zakrojonych na ogólnopolską skalę represji i sztych był arszustowanie pełnomocnika matki zamordowanego Grzegorza Przemyska, adw. Macieja Bednarkiewicza, członka NRA.

Każdą z wyżej wymienionych represji zilustrować można konkretnym nazwiskiem adwokatów, którzy byli szykanowani. O każdej - o ile nadeszła informacja do NRA od zainteresowanego - prezes NRA spokojnie i bez zadrażniających emocji informowała adnosne władze.

NRA i jej prezes nie nadawały swym interwencjom zbyt szerokiego rozgłosu, ale konsekwentnie przyjmując nieodmiennie formułę dialogu, próbowały przekonać władze o bezprawności i polityczności dla państwa niekorzystnym wydzwiekiu szycan w stosunku do adwokatów.

Pisma z wystąpieniami prezes M. Budzanowskiej, kierowane w tych sprawach do Prokuratury Generalnej, resortu spraw wewnętrznych czy Komitetu Rady Ministrów ds. Przestrzegania Prawa i Porządku Publicznego, broniły fundamentalnych praw zawodu, były szczytem dyplomatycznego umiaru i zakładały dobrą wolę i uczciwe intencje drugiej strony. Tej woli i intencji których, jak wiadomo, nie było od samego początku.

Wolą i intencją władz nie było bowiem wyjaśnienie spraw trudnych, zrozumienie trudnej, odpowiedzialnej roli, jaką w niesuwerennym państwie zarządzanym z obcej mocy panującą władzą pełni adwokat. Pełni ją - dodajmy to koniecznie - uwzględniając warunki, miejsca i czasu, jako człowiek dialogu i kompromisu, który wszakże nie może dotyczyć wartości składających się na pojęcie godności jego i oskarżonego. A o tym, że adwokaci broniли często ludzi niewinnych nawet na gruncie kagańcowych praw stanu wojennego, wspominać nie warto.

W tym trudnym czasie samorząd adwokacki stanął na wysokości zadania. Nie dał się zmusić do uczestnictwa w dyscyplinarnym represjonowaniu adwokatów za ich odwagę, ale zgodną z przepisami prawa obronę działaczy "Solidarności". Kto wie, czyby jednak do procesu KOR-u i jednostki nie doszło, gdyby władzy udało się powalić na kolana obronę. W końcu w czasach stalinowskich w bardziej jeszcze fantastycznych procesach przy udziale obrońców z powodzeniem dokonywano sądowych mordów. Liberalne sądy PRL w stosunku do memoriału dowodowego oczywiście, mogą skazywać ludzi najłatwiej wówczas, gdy obrona nie za bardzo przeszkadza. A w latach wojny polsko-ja-ruzelskiej obrona przeszkadzała. Nierzadko skutecznie.

Tak więc samorząd adwokacki nie przyjął sugerowanej roli pacyfikatora adwokatury, nie przyniósł oczu na procedurę karną, która nawet w komunistycznym państwie zakłada rozbieżność funkcji prokuratora i obrońcy. W czasie, gdy kwestionowanie polityki władz, gdy niezgoda na status quo, ba!, dyskusja z władzą junty, były kamieniem obrazy rzuconym w ludowe państwo, z ław obrończych domagano się respektowania praw człowieka i obywatela niezależnie od jego politycznych poglądów i opcji.

Sytuację samorządu usiłującego zachować należytą lojalność wobec państwa, bez zaprzeczenia jednak fundamentalnym kanonom obrony i zasadom praworządności, komplikowało to również, że reżim postanowił zastraszyć ogół adwokatów, a nie tylko stosunkowo wąską grupę obrońców politycznych. Sięgnięto więc po oręż finansowej kontroli kancelarii adwokackich. Według sporządzonej w urzędach spraw wewnętrznych listy rozpoczęto więc kontrolę finansową kancelarii adwokackich. Towarzyszyło temu przesłuchanie w USW klientów, na których wywierano nacisk i próbowano zmuszać do złożenia zeznań obciążających adwokatów. Minister sprawiedliwości, po stwierdzeniu drobnych choćby uchybień, od razu zawieszal adwokatów w czynnościach, mimo iż nie zawsze miał do tego formalne prawo. Tak postąpił np. wobec jednego z członków NRA z Krakowa, któremu urząd skarbowy udowodnił przyjęcie od klienta 1000 zł poza zespołem. Mimo że rada krakowska wdrożyła postępowanie dyscyplinarne, co według prawa o adwokaturze eliminuje interwencje resortu, minister natychmiast zawiesił adwokata.

W klimacie szycan i nie tajonej już publicznie niechęci, czego dowodem były pojawiające się publikacje w Trybunie Ludu bez ogródek atakujące adwokatów jako siedlisko antysocjalistycznej zarazy, w takim właśnie klimacie samorząd przeprowadzał dziesiątki rozmów i interwencji na rzecz środowiska. Z pewnymi nawet sukcesami, choć w sprawach głównych, do których należała sprawa zmiany tekstu, nic nie drgnęło mimo ciągle ponawianych obietnic. Minister sprawiedliwości, Lech Domerecki, bojkotował Prezydium NRA i jej prezesa, dając tym samym do zrozumienia, co w istocie myśli o nowym prawie o adwokaturze, prawie, które odebrało mu zwierzchni nadzór nad środowiskiem.

Kierownicza rola przymusu

Politykę władzy komunistycznej wobec społeczeństwa determinuje zawsze podstawowy czynnik, jakim jest paraliżująca obawa przed wszelką manifestacją

postaw obywatelskich. Takie postawy dały o sobie znać na Krajowym Zjeździe. Należy przy tym podkreślić, że mimo tamtego czasu, znaczonego już nie odebraniem społeczeństwu wszelkich praw obywatelskich, ale łamaniem wszelkiego prawa przez siebie wydanego, gdy tylko przeszkadzało ono represyjnej polityce, od procedury karnej na prawie pracy kończąc, mimo - powtarzam - uczynienia przez władze z zasady praworządności nic nie znaczącego ozdobnika okraszającego każde bez mała publiczne wystąpienie eksponentów władzy, zjazd adwokatury odbył się w atmosferze spokoju i odpowiedzialności. Adwokaci w naturalny, niejako zadowolony sposób mają predylekcję do łagodzenia sporów, do kompromisu, ugody. Mentalność adwokacką od niepomietnych czasów kształtuje specyfika zawodu: spór na sali sądowej wobec niezawisłego czynnika, jakim powinien być sąd, ale spór prowadzący do jakiegoś konsensusu, ugody, którą mogą zaakceptować obie strony postępowania przed sądem. Adwokacka mentalność można, krótko mówiąc, określić jako mentalność medycyjną.

Taki też był i głos Zjazdu. Broniąc prawa i wolności obywatelskich ci adwokaci, których później Trybuna Ludu i, w ślad za nią, inni obwoływali wrogami państwa i ustroju, nie występowali przeciwko państwu. Nie domagali się nawet innej władzy, mówili o potrzebie władzy inaczej sprawowanej. Inaczej - nie tylko w interesie wyczerpanego z praw społeczeństwa, inaczej - w interesie samej władzy.

Taki był duch Zjazdu i uchwał na nim podjętych. Apelowano w tych uchwałach o rzeczywiste porozumienie narodowe, o praworządność, o dialog i dyskusję w celu naprawy państwa, a nie jego obalenia. Adwokaci - trzeba to wyraźnie powiedzieć - wyciągnęli do władzy rękę i deklarowali swoją pomoc w uzdrowieniu państwa. Tego państwa - PRL. Szanse poprawy stanu państwa istnieją zawsze - taki był tenor większości wystąpień na Zjeździe w październiku 1983, a więc wtedy, gdy większość, jeśli nie wszystkie opiniotwórcze środowiska zastosowały bojkot państwa, upatrując w nim opresyjny wobec społeczeństwa obcy twór pojałtańskich porządków.

Powiedzmy wyraźnie: Krajowy Zjazd Adwokatury, mimo wielu zasłużonych gorzkich słów pod adresem praktyki politycznej i prawnej władz, był zjazdem dialogu. Dialogu trudnego, o nie faadowego, dialogu prawdziwego, w którym zakłada się dobrą wolę drugiej strony, ale i domaga partnerskiego traktowania, dialogu par excellence, a nie monologu rozpiswanego na głosy. Tak jako taki, Zjazd ten stanowił kapitalną okazję dla władzy, aby wykazała wiarygodność swych deklaracji dotyczących samorządności i demokracji.

Stosunki samorządu adwokackiego z władzą i administracją państwową mogły stać się laboratorium trudnej sztuki samorządności i jeszcze trudniejszej umiejętności współistnienia władzy z czynnikiem obywatelskim integrującym państwo. To była wielka szansa, dla tych przedstawicieli nielubianego powzechnie ustroju, których ostatnie pięć lat w historii kraju czegoś nauczyło i którzy poważnie już nie tyle wzięli sobie do serca, ile zrozumieli, że epoka nomenklaturowego ręcznego sterowania wszystkim i wszystkimi kończy się, bo jest to po prostu mało skuteczne. Że w tym właśnie sensie nie ma powrotu do sytuacji sprzed Sierpnia 80. Tę szansę obecnie rządząca ekipa zaprzepaściła. Mianowała sobie kolejnego wroga - adwokatów - i rozpoczęła z nim walkę na warzewczych i urojonych przeciwników, ta władza ma szczególną zdolność do obrzydzenia siebie społeczeństwu, prowokowania niechęci do siebie wszelkich środowisk, które traktowane poprawnie mogłyby stać się w minimalnym choćby stopniu oparciem dla tej władzy. Jeśli nie z szacunku, to przynajmniej z pamięci o geografii i własnym wąsko pojętym interesie. Zamiast wariantu dialogu, do którego w naturalny sposób adwokatura była predysponowana, wybrano zomowski wariant pałki. Najpierw ogłoszono więc przez mikrofon: "Obywatele adwokaci proszę się rozejść...".

Pierwszym, który zgodził się na pełnienie łagodnej roli oficera apelującego do rozsądku zgromadzonych był adw. prof. Kazimierz Buchała, protegowany sekretarza KC Milewski. Tego samego, który opuścił politbiuro po zamordowaniu księdza Jerzego Popiełuszki. Już w trakcie Zjazdu, na którym do ostatniej chwili miał kandydować na stanowisko prezesa, usiłował nieudolnie dezawuować zarzuty swojej indolencji wobec opresyjnej polityki władz w stosunku do adwokatów. Jako ustępujący prezes NRA niewiele miał argumentów na swoją obronę, więc zaczął straszyć. Wobec świadomego braku szans na wygranie wyborów ze zgłoszoną z sali adw. Marią Budzanowską, wycofał swoją kandydaturę. Ale straszyć nie przestał, zyskując w tej działalności coraz szersze grono współpracowników.

Straszone zrazu nieoficjalnie, potem półoficjalnie. Przede wszystkim nowelizacją ustawy, później nadzwyczajnym zjazdem. Ta druga groźba była humorystyczna; czynnik partyjny w adwokaturze, sprowadzony do personalnego minimum, jeszcze się nie pozbierał po porażce na Zjeździe w październiku 1983. Na nadzwyczajnym doznałby z pewnością jeszcze rozleglejszych kontuzji.

Ale groźba nowelizacji była całkiem realna. W PRL zmienić ustawę i uchwalić inną - to żadna dla rządzących trudność. Przygotowano nawet dwa projekty, które pokazano zaufanym, by ci napędzali strachu środowisku. Sejmowa Komisja Spraw Wewnętrznych i Wymiaru Sprawiedliwości wpisała na porządek dzienny swych obrad temat: ocena wykonania prawa o adwokaturze.

Takie posiedzenie się odbyło. Tyle tylko, że kilku posłów na czele z bezpośrednio zainteresowaną pos. M. Budzanowską obroniło ustawę. Udało się dyskusję w komisji sprowadzić do wymiarów rzeczowych, konkretnych. Ci posłowie, którzy wiedzieli, o co idzie gra, domagali się precyzyjnej konfidencyjności i demagogicznych zarzutów, jakimi operowali na tym posiedzeniu przedstawiciele resortu sprawiedliwości i spraw wewnętrznych. Na tym etapie prezes M. Budzanowska odniosła sukces, co rozjuszyło jej przeciwników.

Od tej pory zaczęły się rwać kontakty z przedstawicielami administracji i organizacji politycznych, zaś zasadniczym warunkiem wstrzymania prac nowelizacyjnych miał być z ust do ust podawany wymóg: ustąpienie prezesa. Wobec stanowczych deklaracji, że z urzędu prezesa może odwołać tylko Zjazd, sięgnięto po oręż tyleż groźny, co obnażający z całą szczerością intencje czynników politycznych. Po ośmiu miesiącach minister sprawiedliwości zaskarżył uchwały Zjazdu i wydane na ich podstawie regulaminy do Sądu Najwyższego jako niezgodne z prawem.

Nagle, po ośmiu miesiącach, okazało się, że grono wybitnych, jakby nie było, praktyków prawa podjęło uchwałę i wydało regulaminy niezgodne z obowiązującym prawem. Ci, którzy sądzili, iż Sąd Najwyższy nie będzie chciał wziąć na siebie odium kompromitacji, byli oczywiście w błędzie. Sędzia - przewodniczący Perestaj-nie takie orzeczenia wydawał. Znakomite wystąpienia obu pełnomocników NRA, adwokatów Krzemieńskiego i Dyki z Krakowa /zawieszono obecnie w pracach wykonywania zawodu/ oraz wystąpienie prezesa Budzanowskiej, nie miały tu oczywiście nic do rzeczy. Podobnie, jak nie musiał się wysilać, nie potrafiący poprawnie sformułować jednego sensownego argumentu, nie tylko zresztą w tej sprawie, pełnomocnik ministra, były adwokat Jerzy Kiebowicz. Niezawisły Sąd Najwyższy zrobił dokładnie to, czego żądał minister ustami swojego nieudolnego pracownika.

Równoległe z kampanią przeciw adwokaturze na forum kampania w środkach masowego przekazu. Z tym, że była to kampania jednostronna, gdyż poza artykułami atakującymi adwokatów nie ukazywały się żadne teksty w jej obronie. Nie wolno było nawet prostować oczywistych kłamstw, które zamieszczała prasa, a zawieszony przedtem adw. P. Andrzejewski, przesyłając takie sprostowania do Trybuny Ludu, narażał się na wniosek o kolejne postępowanie dyscyplinarne.

W ślad za kampanią prasową postanowiono reanimować partię w adwokaturze. Nagle ukazywały się oświadczenia np. organizacji partyjnej w Suwałkach, wymierzone przeciw NRA i jej prezesowi. To, że w parę dni później do prezesa napływała uchwała kilkudziesięciu adwokatów z wyrazami poparcia i z informacją, że owa organizacja partyjna liczy trzech członków, nie miało znaczenia. Publikowano uchwałę organizacji.

W szeregu izb próbowano podjąć uchwały wymierzone w prezesa, ale szybko się z tego wycofano wobec pewności, że uchwały będą podejmowane, ale w zupełnie innym kierunku. Wszystko to zagęszczało atmosferę, zaś wspomniane już kontrole finansowe zataczały coraz szersze kręgi.

Sytuacja jakby dojrzała do ostatecznego rozstrzygnięcia. Podczas listopadowego posiedzenia NRA dziekan izby kieleckiej, Ryszard Podlipniak, w imieniu, jak się wyraził, lewicy, złożył wniosek o votum nieufności dla prezesa i zażądał jego przegłosowania.

Wydawało się, że członkowie NRA są wystarczająco poddani różnorodnym naciskom i że wniosek ten przejdzie większością głosów, zwłaszcza, że adw. K. Buchała ujawnił treść przygotowywanej nowelizacji prawa o adwokaturze. Tekst był tyleż krótki, co przerażający: minister otrzymywał prawo zawieszania wszystkich organów samorządu oraz prawo odwoływania każdego ich członka. Po wielogodzinnej dyskusji w tajnym głosowaniu uratowano godność samorządu: za udzieleniem votum zaufania wypowiedziały się 23 osoby, przeciwko było 19.

Minimalna większość głosów rokowała pewne szanse na przyszłość. Trzeba było więc podkreślić nieco kampanię prasową, jeszcze bardziej zintensyfikować kontrole w zespołach i nadal straszyć. Trzeba było się spieszyć, jako że zapowiadało się gorące lato z podwyżkami, jesień z wyborami do Sejmu, a przecież trzeba jeszcze będzie znormalizować wyższe uczelnie.

Ostatecznie sprawę postanowiono rozstrzygnąć 16 marca na posiedzeniu NRA. A właściwie dzień wcześniej. Bowiem w dzień poprzedzający zebranie NRA zebrał się w Warszawie tzw. Zespół Partyjny, na który

zaproszono wyselekcjonowanych dziekanów bezpartyjnych, a także tych członków NRA, co do których istniało uzasadnione przekonanie, że można będzie ich skutecznie zaszantażować. Na spotkanie przybył sam minister sprawiedliwości Lech Domaracki - to był jego pierwszy oficjalny kontakt z adwokaturą. Min. Domaracki w obecności dwu wiceprezesów NRA i pod nieobecność prezesa oświadczył wyraźnie, że czynnik polityczny nie ma zaufania do prezesa Budzanowskiej i że jeśli ona ustąpi, to będzie nowa takaś, skończą się kontrole, będą ordery, asygnaty, kwiaty. Całusów nie obiecał.

W kilkadziesiąt godzin później na wniosek dziekana z Zielonej Góry, Czesława Dużyńskiego, NRA stosunkiem głosów 24 do 16 weszła swego prezesa do ustąpienia ze stanowiska. Miesiąc później, kiedy wiadomo było, że żądanie prezesa sformułowania konkretnych zarzutów, jakie wobec niej mają władze, pozostawać będzie bez echa, adw. M. Budzanowska oświadczyła, że ustępuje pod przymusem. Terrorysty odetchnęli.

O urodzie moralnej pewnej postawy

Dwudziestu czterech adwokatów członków NRA wzywających adw. M. Budzanowską do ustąpienia ze stanowiska prezesa nie tylko zahandlowało adwokaturą. W zamian za gruszki na wierzbie stała się jednak rzecz znacznie gorsza. Ulegając wobec partyjnych nacisków mogli - mieli do tego ustawowe prawo - zwołać nadzwyczajny zjazd i na nim dokonać wyboru nowego prezesa. Inna sprawa, czy doły adwokackie skłonne byłyby wziąć udział w wielkim sprzeniewierzeniu, czy raczej dałyby wyraz swojemu przywiązaniu do samorządności i demokracji. Tak, zgodnie z ustawą, dyspozycyjni członkowie NRA postąpić mogli. Wybrali drogę pozaprawnego nacisku, stali się tego nacisku przekąźnikiem i narzędziem.

Władza zażądała od adwokatury rezygnacji z obrony koniecznej w zamian za mglistą obietnicę zaniechania pozaprawnej opresji. W języku politycznym nazywa się to terrorem. W języku prawnym - groźbą bezprawną. Prości ludzie mówią o tym - łajdactwo. Owo najgorsze jednak polega na tym, że tych dwudziestu czterech adwokatów mających ustawowy obowiązek "współdziałania w ochronie praw i wolności obywatelskich" naruszyło prawo o adwokaturze. I to może być kamyk, który pociągnie lawinę kolejnych naruszeń tego prawa. Już dziś nadzorca z Wydziału Administracyjnego KC mogą spać spokojnie. Tych dwudziestu czterech adwokatów usankcjonowało w pełni, bez zmiany ustawy, zwierzchni nadzór nad adwokaturą ministra sprawiedliwości, nadzór, którego zniesienia samorząd adwokacki domagał się od początku PRL, słusznie upatrując w nim przekreślenie adwokackiej samorządności i niezawisłości zawodu.

Spór, którego fragmentem jest walka o miejsce adwokatury w państwie, jest w istocie sporem o istotę samorządu. "... Samorząd, któremu przewodniczę - mówiła na posiedzeniu NRA w listopadzie prezes Budzanowska - podejmuje oczywiste w intencjach politycznych i społecznych, konstruktywne prowadzenie adwokatury po drodze współpracy z państwem, lecz także jego naprawy w drodze rzeczowego budowania zaufania i udziału nie w ostrogach, ale i nie na kłęczkach /.../ Adwokatura i jej samorząd to nie jest targowisko, nie kupuje się działacza samorządu, czy go sprzedaje. Nie może być tu w obiegu ani srebrników, ani szczerego złota. Tradycja samorządu i z istoty zawodu wypływający szacunek i troska o drugiego człowieka chronić nas powinny przed taką moralną głuchotą...".

Trzeba stwierdzić jasno i otwarcie: tych dwudziestu czterech członków rady wykazało taką moralną głuchotę. I chyba trudno im wróżyć sukces, gdy czyniąc z samorządu targowisko właśnie, sądzą, że w zamian uzyskają od wiarołomnej władzy spodziewane rekompensaty. Mając do wyboru walkę lub hańbę, wybrali hańbę. A walki i tak nie unikną, dopóki z ławy obrończej będzie dochodził choć jeden głos nie znajdujący akceptacji w Wydziale Administracyjnym KC.

Spór o adwokaturę, w którym liderem jednej ze stron była prezes Budzanowska, był również sporem o demokrację. "... Demokratyczny wybór jest hasłem bez pokrycia - mówiła na jednym z ostatnich prowadzonych przez siebie posiedzeń NRA prezes Budzanowska - jeśli nie niesie za sobą demokratycznej świadomości funkcjonowania. Nie tylko u wybranych, również u wyborców. Bo co to jest demokratyczne funkcjonowanie? To nie tylko formuła jawności, formuła pełnej informacji, zasięgania opinii, kontroli, wyborów i akceptacji. Demokratyczne funkcjonowanie demokratycznie wybranych władz, to również zgoda tych, którzy na tę władzę nie głosowali, na sprawowanie władzy przez

tych, którzy zostali wybrani przez większość i popieranie tej władzy. Bez takiej świadomości nie ma demokracji. /.../ Demokracja to nie hasło czy idea głoszona odświętnie, która ma co pewien czas porwać na sze dążenia, lecz praktyka codziennego działania i stosunków w procesie sprawowania władzy i tej naszej w samorządzie adwokackim...".

Półtora roku trwa ten szczególny epizod w dziejach adwokatury, kiedy działał demokratycznie ukonstytuowany samorząd adwokacki. Krótko, jeśli zważyć jego bezdyskusyjną, bo konstytuującą niezawisłość adwokacką, rolę. Długo, jeśli pamiętać, że ta władza nie cofa się przed niczym, co może przywrócić stan jej nomenklaturowego posiadania. Bardzo długo, jeśli spojrzeć na te osiemnastymiesięczne przez pryzmat człowieka. Głównej osoby w tym dramacie. Czerpiąc niewątpliwie pełną satysfakcję się z jedynej, jak dotąd, demokratycznego wyboru, czując cały ten czas poparcie znacznej części szeregowych adwokatów, broniła atakowanych często bez powodu kolegów i środowiska, jak potrafiła. To, że musiała odejść, świadczyć by mogło, że robiła to skutecznie. Bo tej władzy potrzebni są skuteczni nadzorcy, nie obrońcy.

Sens postawy adw. M. Budzanowskiej w kwestii politycznych, moralnych i prawnych nieprawości, w jakie uwikłano adwokatów, może mieć dla tego w części zmaktylizowanego środowiska wartość ogromną. Argument realizmu używany w charakterze cepa ogłusza tylko tych, którzy zapominają, że dopiero czas rozstrzyga, co jest realizmem, a co tchórzostwem, oportunistycznym, naiwnością czy hańbą. Sens postawy przez Budzanowskiej zawiera się bowiem w odpowiedzi na pytanie, z jakim багаżem wartości, z jaką świadomością stale obecna w pamięci środowiska wchodzi adwokatura polska w kolejną fazę swego trudnego istnienia w komunistycznej rzeczywistości. Zrozumienie sensu postawy byłej przez adwokacką społeczność będzie dowodem że adwokatura ze zniewoleniem i pokorną dyspozycyjnością nie pogodzi się nigdy. Tak jak nie pogodził się naród. Będzie dowodem, że adwokat umie odróżnić fałsz od prawdy, serwilizm wobec państwa od lojalności wobec niego, interes od dobra, zaś własną kieszeń będzie skłonny odróżnić od społecznego posłannictwa, tak jak odróżnia manipulację od demokracji. Ze adwokat odrzuca pozorny realizm codziennego zaprzęstwa i dobrowolnej samoniewoli, że wreszcie zna trudną sztukę zachowania godności w chwilach porażki. Nie tylko adwokatury. Nas wszystkich, którzy sięgają lub będą sięgać po pomoc prawną.

Postawa adw. M. Budzanowskiej bez wątpienia stanowi się składnikiem adwokackiej samowiedzy, której niepodobna zredukować do zwykłego protestu. Ten znak moralnej bezkompromisowości jest wartością bezcenną zwłaszcza w środowisku, które jest skazywane na kompromisy przez codzienną rzeczywistość. Adwokatom niezomnym uzasadnia jednoznaczność ich drogi, adwokatom słuźalczyk pokazuje rolę, jaką podjęli się spełnić. Wszystkim wyznacza pole możliwego kompromisu i pozwala odróżnić ten kompromis od hańby.

Ukazuje wreszcie i tę, zdawałoby się, elementarną prawdę, iż kto chce bronić praw innych, musi być gotów do obrony praw własnych.

Adam Sarna

ANTENA >>>> kierunkowa

W jednej z audycji RWE inż. Stefan Załęski przedstawił opis naszej pokojowej anteny kierunkowej /AK/ eliminującej w dużym stopniu zagłuszenie radiostacji nadających na falach krótkich w pasmach 41-16m. Warunkiem bowiem dobrego odbioru radiostacji nadających na falach krótkich jest nie tylko dobry, tzn. czuły i selektywny odbiornik, ale także dobra antena. Dla dobrego odbioru stacji zagłuszanych antena musi mieć też dobrą charakterystykę kierunkową.

Łącząc dobrego odbioru RWE, RFI, zainteresowaliśmy się budową takiej anteny. Zbudowaliśmy ją wg zaleceń inż. Załęskiego i po sprawdzeniu bez wahania namawiamy Czytelników do pójścia w nasze ślady. Już pierwsze doświadczenia, którym daleko, naturalnie, do pełni, zwłaszcza w okresie całego roku w zmieniających się warunkach propagacji / rozchodzenia się w atmosferze / fal krótkich jak i skuteczności zagłuszania, dowodzą zalet tej anteny. Możemy je scharakteryzować przez porównanie z odbiorem na dobrej już przecież antenie AZ

czyli zbiorczej. Otóż, jeśli na AZ odbiór był niezły, nieznanie zakłócony i zaszumiony, na antenie AK był doskonały, bez żadnych szumów. Odbiór silnie zagłuszanych stacji, niemożliwy na AZ, stawał się z pewnym trudem możliwy na AK. Szumy były intensywne, ale głosy wystarczająco zrozumiałe. Pomiedzy tymi dwiema skrajnymi sytuacjami zawsze charakterystyczna była wyższość AK nad AZ w stopniu bynajmniej nie rewelacyjnym, lecz wyraźnie odczuwalnym, zwłaszcza przy długotrwałym słuchaniu.

Konstrukcja AK jest bardzo prosta, nie wymaga użycia trudnych do "zorganizowania" materiałów i z łatwością może ją wykonać nawet średnio uzdolniony majsterkowicz nie-elektronik /vide autorzy niniejszego/. Poprawa odbioru z nawiązką zrekompensuje trud poniesiony na budowę AK. Przedstawiamy zatem opis w pełni wystarczający do jej zbudowania ufnie, że przyczynimy się w ten sposób do ułatwienia wolnemu słowu w dotarciu do słuchaczy.

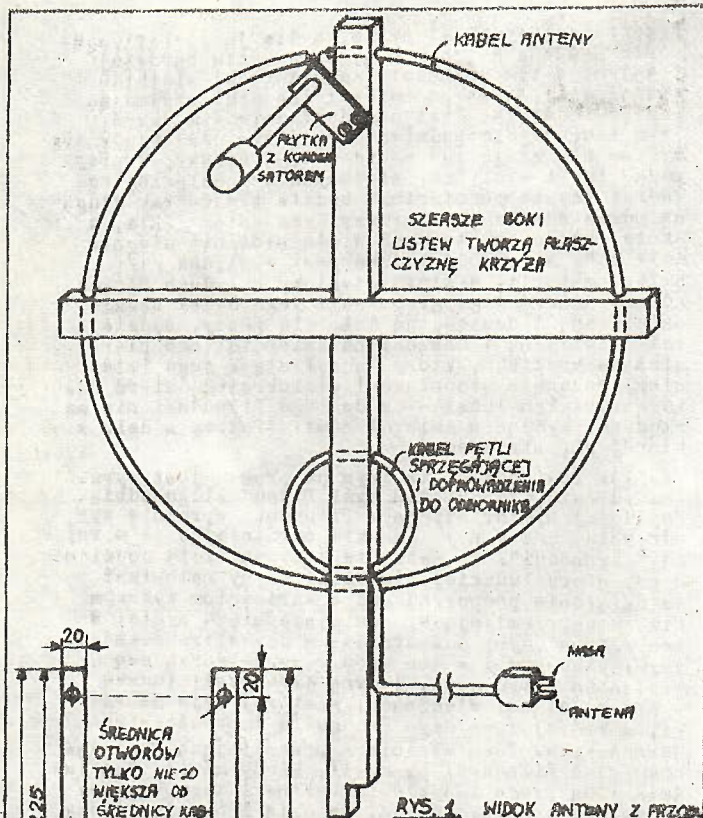
Rysunek 1. ukazuje AK z przodu. Zanim przejdziemy do szczegółów, zwracamy uwagę na to, że musi być wykonana z kabla TV okrągłego współosiowego /tzw "koncentryk"/; kabel płaski symetryczny nie nadaje się do budowy tej anteny. AK ma kształt koła o średnicy 44 cm i jest zamocowana na krzyżu zrobionym z listew drewnianych. Znacznie mniejsze koło o średnicy 10,5 cm, wykonane również z kabła koncentrycznego, znajduje się wewnątrz dużego koła tak, że dotyka tego koła w jego dolnej części. Jest to tzw. pętla sprzęgająca. Listwy użyte do zamocowania anteny miały szerokość 3 cm i grubość 2 cm. Szersze strony listew tworzy kształt +. Należy je przygotować wg rysunku 2, gdzie pokazane są w widoku na węższe boki. Otwory służące do zamocowania kabla w kształt koła wywiercamy wg podanych wymiarów przez całą szerokość listew. Średnica powinna być nieco większa od średnicy kabla. Widoczne na rysunku wcięcia służą do złożenia listew tak, by leżały w jednej płaszczyźnie, a nie jedna na drugiej.

Każda antena, aby zapewniła możliwie najsilniejszy sygnał odbieranej częstotliwości, musi być do tej częstotliwości dostrojona. W naszym przypadku umożliwia to kondensator nastawny o pojemności 200 pF z dielektrykiem stałym /kondensatory powietrzne mają duże wymiary/. Będzie przykręcony do płytki z materiału izolacyjnego w sposób podany na rysunku 3. Płytkę z kondensatorem mocujemy dolnym końcem do pionowej listwy od przodu tak, aby kondensator znajdował się z lewej strony listwy. Końcówki kondensatora winny znaleźć się jak najbliższej kabla anteny, ale trochę poniżej. Patrząc od przodu kondensator jest za płytką, a jego oś wychodzi przez otwór w płycie do przodu. Oś należy przedłużyć o ok. 10 cm rurką lub prętem izolacyjnym, na końcu którego zakładamy gałkę.

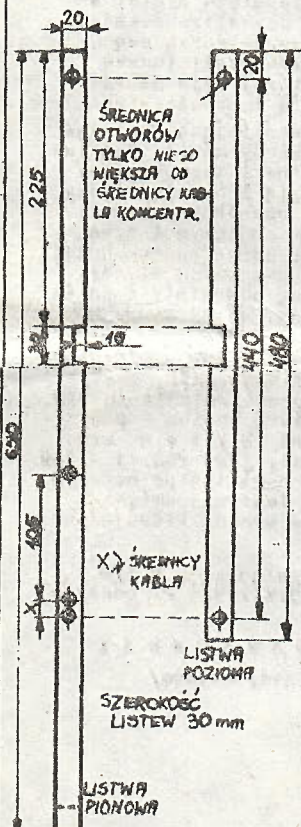
Antenie winniśmy zapewnić możliwość ruchu w płaszczyźnie pionowej. W tym celu wykonaliśmy przegub z dolnym końcem pionowej listwy wycinając od dołu połowę jej szerokości z prawej strony na długości 2,5 cm. Podobne wcięcie, ale z drugiej strony, wykonaliśmy na innym kawałku listwy zamocowanej w podstawie. Obie listwy złożyliśmy tak, aby do siebie przylegały i wywierciliśmy przez środek ich połączenia otwór. W otwór ten włożyliśmy wkręt M5 i skróciliśmy nakrętką motylkową. Opisany przegub ma najprostszą konstrukcję, ale w użytkowaniu przysparza kłopotów, ponieważ antena po przechyleniu w płaszczyźnie pionowej ma tendencję do przewracania się /rzut środka ciężkości szybko ucieka poza podstawę/. Wydaje się, że szczęśliwszym rozwiązaniem byłoby umieszczenie przegubu wykonanego z mosiądzu lub aluminium w miejscu skrzyżowania listew. Tę kwestię jednak, jak również rozwiązanie podstawy anteny, pozostawiamy otwartą do uznania i potrzeb zainteresowanych.

Przystępujemy teraz do przedstawiania kolejności czynności.

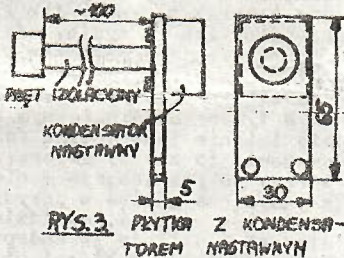
1. Wykonanie obu listew wg rysunku 2.
2. Wykonanie wcięcia na dole pionowej listwy do połączenia przegubowego z podstawą.
3. Sklejenia listwy pionowej z poziomą.
4. Wykonanie płytki pod kondensator, zamocowanie kondensatora wg rysunku 3. i przykręcenie płytki dwoma wkrętami do pionowej listwy tak jak pokazano na rysunku 1.
5. Najpierw odcinamy kabel koncentryczny o długości wystarczającej na całe koło /ok. 140 cm/ i z 10 cm zapasem. Jeden koniec przygotowujemy w następujący sposób: na długości 4 cm zdejmujemy z kabła wszystko tak, aby pozostał tylko przewód środkowy. Następnie na długości 1,5 cm zdejmujemy najpierw zewnętrzną powłokę ze sztucznego tworzywa. Później usuwamy znajdujący się pod nią oplek druciany. Na tym 1,5 cm odcinku zostaje nam przewód środkowy w izolacji. Ten właśnie koniec przesuwamy od strony prawej w lewą przez otwór w górnym końcu pionowej listwy. Kabel wsuwamy tylko na tyle, aby wszedł cały goły przewód środkowy



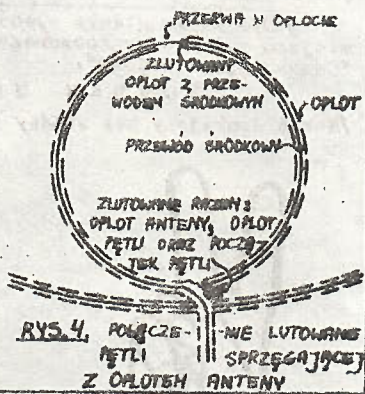
RYS. 1. WIDOK ANTENY Z PRZODU



RYS. 2. WIDOK LISTEW Z BOKU



RYS. 3. PŁYTKA Z KONDENSATOREM NASTAWNYM



RYS. 4. POŁCZENIENIE LUTOWANE PĘTLI SPRZĘGAJĄCEJ Z OPIOTEM ANTENY

i 10 mm izolacji. Teraz przewód zginamy w dół tak, aby doprowadzić go do najbliższej końcówki kondensatora i lutujemy. Drugi koniec kabla przesuwamy kolejno przez pozostałe trzy otwory /uwaga: w pionowej listwie - przez najniższy położony otwór/ i kabel kształtujemy tak, aby możliwie dokładnie tworzył koło. Teraz możemy zupełnie dokładnie dopasować długość kabla w ostatniej ćwiartce obwodu koła, przygotować jego zakończenie w podany wyżej sposób i przylutować do wolnej jeszcze końcówki kondensatora. Odstęp między sztygami w dół obu końcami środkowego przewodu nie powinien być na obwodzie koła większy niż 5 mm.

6. Pętla sprzęgająca i doprowadzenie do odbiornika wykonane są z jednego kawałka kabla. Na samą pętlę, a więc na to mniejsze koło na rys. 1 potrzeba 33 cm kabla. Do tego trzeba dodać odpowiednią długość na doprowadzenie do odbiornika. Bierzemy teraz jeden koniec całego kabla i zdejmujemy ochronę /stosunek tworzywa/ na długości 7 mm. Rosnącym opłot i usuwamy izolację otaczającą przewód środkowy. Teraz wszystkie druciki

opłotu skręcamy lekko wokół przewodu i przylutowujemy do niego. Od tego końca odmierzymy na kablu 15,8 cm. W tym miejscu nacinaamy naokoło zewnętrzną powłokę kabla. Następnie kolejne nacięcia robimy w odległości 7 milimetrów od pierwszego. Teraz zdejmujemy zewnętrzną powłokę kabla na tym 7 mm odcinku. Kolejny krok to przecięcie naokoło opłotu w miejscu drugiego nacięcia, a więc w odległości 16,5 cm od spreparowanego już końca. Rozchylamy opłot i usuwamy izolację z przewodu środkowego. Teraz, podobnie jak poprzednio, skręcamy lekko wszystkie druciki opłotu na przewodzie i przylutowujemy. Trzeba jednak bardzo uważać, by nie stworzyć przypadkowo połączenia z opłotem tej długiej części kabla. W rezultacie tych zabiegów otrzymujemy jakby 16,5 cm odcinek kabla z opłotem przylutowanym do przewodu środkowego na obu jego końcach. Połączenie elektryczne z pozostałą długą częścią kabla stanowi nieprzerwany przewód środkowy. Teraz przystępujemy do wykonania tego mniejszego koła na rys. 1. Ten koniec kabla, na którym opłot przylutowany jest do przewodu, wprowadzamy od prawej strony w otwór znajdujący się w pionowej listwie tuż nad otworem, w którym znajduje się kabel właściwej anteny. Przeciągamy dobre 30 cm i spreparowany koniec wprowadzamy teraz z lewej strony pionowej listwy w wolny jeszcze otwór. Przeciągamy kabel i kształtujemy go tak, aby tworzył zamknięte koło. Spreparowany koniec dotyka kabla w pobliżu miejsca, w którym ten uchodzi do otworu w listwie /drugim otwór od dołu/. Od tego miejsca styku zdejmujemy osłonę zewnętrzną na kablu, który stanowi doprowadzenie do odbiornika - na długości 5 cm. Do widocznego teraz opłotu drucianego przylutowujemy spreparowany koniec możliwie blisko otworu w listwie. Kabel-doprowadzenie opada w sposób naturalny w dół i krzyżuje się po prawej stronie listwy z kablem właściwej anteny. W tym miejscu zdejmujemy na długości 2 cm osłonę zewnętrzną kabla anteny. Teraz oba kable dotykają się opłotami drucianymi. Miejsce styku tych opłotów lutujemy. Rysunek 4. symbolizuje pętlę sprzęgającą spreparowaną w podany sposób i zlutowaną z opłotem kabla anteny. Kabel-doprowadzenie do odbiornika przysmacujemy teraz do pionowej listwy okracając i listwę i kabel taśmą samoprzylepną. Na wolnym końcu doprowadzenia zdejmujemy teraz zewnętrzną osłonę na długości 3 cm. Opłot druciany najpierw rozdzielamy, a następnie skręcamy w jedną żyłę, na którą nałożymy wtyczkę bananową. Tę wtyczkę włożymy do gniazda odbiornika oznaczonego "ziemia". Z przewodu środkowego zdejmujemy izolację na takiej długości, aby można było założyć wtyczkę bananową, którą następnie wkładamy do gniazda odbiornika oznaczonego "antena". W nowych odbiornikach gniazda na antenę krótkofalową są przewieszone na specjalną wtyczkę, w której końcówki zamontowane są w jednej osłonie i odpowiednio oznaczone, toteż nie powinno być kłopotu z ich podłączeniem.

A teraz kilka słów na temat posługiwania się anteną. Po jej podłączeniu włączamy odbiornik i nastawiamy na żądaną stację w pasmach od 41 do 16 m. Teraz destrajamy powoli anteną umieszczonym na niej kondensator tak, aby uzyskać jak najsilniejszy odbiór. Nie trzeba się przejmować tym, że razem ze wzrostem siły odbieranego sygnału wrośnie też siła szumowania. Po dostrójeniu anteny zaczynamy ją obracać w płaszczyźnie poziomej. Przy pewnym położeniu zauważymy wyraźne i dosyć nagłe osłabienie szumowania. Dalszą poprawę odbioru można uzyskać przechylając antenę w płaszczyźnie pionowej. Jeśli przechylenie anteny da pewną poprawę, to dalsze osłabienie szumowania można spowodować niewielkim obrotem anteny w lewo lub w prawo. Najlepsze wyniki uzyskuje się, jeśli można ustawić antenę w pobliżu okna wychodzącego na zachód, ale nie jest to nieodzowny warunek.

Jak nadmienić inż. Załęski - najlepszym od strony techniki odbioru rozwiązaniem byłoby zbudowanie 3 anten. Nie ma bowiem jednej anteny, która zapewniałaby optymalny odbiór we wszystkich pasmach fal krótkich. Zbudowanie trzech anten następczo by jednak wiele dodatkowych trudności. Zdączył się więc na przedstawienie opisu jednej anteny umożliwiającej dobrać odbiór głównie w pasmach 41 - 16 m.

Nia pozostaje nam już nic innego, jak życzyć wszystkim zainteresowanym powodzenia w budowie anteny i do dobrego odbioru.

Sylwester M.
Solidariusz W.

CZŁOWIEK (11) POŚRÓD LEGEND

5.2. Czy Piłsudski rzeczywiście wierzył w skuteczność takich wstrząsów, w możliwość wpływu idei wartości na życie ludzkie? Wydaje się, że tak. Powtarzane przez Piłsudskiego określenie, że "życie jest to spalanie się ducha w materii" wskazuje śladowo na pewien rodzaj dualizmu. Dualizm ten daleki jest od optymizmu; nie zakłada, iż świat to materia stopniowo podlegająca przeduchowieniu, bliższy jest raczej odwrotnemu przekonaniu, iż duchowość ożywiająca materię sama ginie. Niemniej jednak owa ofiara, czy też "hekatomba", duchowości wprowadza życie w martwy świat, jest tajemnicą żywiołów. Filozoficzną pokusą byłoby rozwinąć tę myśl, ukazując świat jako ołtarz, na którym spala się Bóg, lub może ukazując ziemię ożywianą krwią ginącego Boga. Byłoby to jednak spekulacje idące zbyt daleko. Ze zdań rzucanych mimochodem przez Piłsudskiego wynika tylko tyle, iż element duchowy ożywia materię i - tworząc życie - ginie. To, od z punktu widzenia materii jest ożywianiem, z punktu widzenia ducha jest właśnie agonią.

Prawdopodobieństwo takiej interpretacji potwierdza przemówienie Marszałka wygłoszone podczas składania prochów Słowackiego na Wawelu. Myśląc głośno o śmierci "wszechwładnej pani wszystkiego co żyje" Piłsudski niepostrzeżenie przechodzi do refleksji nad życiem - jakby obydwa te pojęcia związane były tajemniczym pomostem, tajemniczym, metafizycznym pokrewieństwem. Dziwne to pokrewieństwo: "Wszystko co żyje, umiera, a wszystko co umiera, żyło przedtem. Prawa śmierci są bezwzględne. Są, jak gdyby stwierdzić chciały prawdę, że co z prochu powstało w proch się obraca". Słowa te brzmią jak wyrok. Ale tuż po nich następuje metafora łącząca życie, umieranie i nieśmiertelność w jeden obraz: "Gdy kamień na tafli spokojnej wody rzućmy, powstają kręgi idące wszędy i zamierające powoli. Tak żyją ludzie, gdy bramy śmierci przepasane przekroczą... Prawa śmierci i prawa życia z wiązane ze sobą /podkr. B.U./ są bezwzględne".

Ostatnie zdanie wskazuje, iż obraz ten może mieć dwie różne a prawdziwe interpretacje. Po pierwsze, możemy w nim widzieć symbol życia - rozszerzającego się i zanikającego, życia będącego właściwie agonią rozpoczynającą się w chwili, gdy człowiek - przekroczywszy od tamtej strony bramy śmierci - pojawia się w bycie jako dziecko. Po drugie, można widzieć w tym obrazie symbol krótkiej, pośmiertnej sławy, pośmiertnej egzystencji ludzi wielkich. Stwierdzenie, iż prawa życia i prawa śmierci są z wiązane, pozwala nam jednak poszukiwać wykładni prostszej a bardziej ogólnej, wspólnego, ukrytego mianownika. Zrównanie życia i śmierci, opisanie ich tym samym obrazem możliwe jest na gruncie jednej jedynej teorii: stoickiej teorii śmierci. Opisywana przez Piłsudskiego śmierć nie wydaje się różna od życia, nie jest jakimś odrębnym "tamnym światem", odrębnym jakościowo bytem. Jest on raczej brakiem życia /tak jak zło było wg św. Augustyna brakiem dobra/, jest jego znikaniem. W tym sensie obraz życia człowieka rzuconego w byt jest obrazem jego śmierci; agonია ludzi zaczyna się z chwilą narodzin.

Śmierć zatem jest związana z życiem, jest jego tajemnicą. Patrząc na kręgi na wodzie rozumiemy, że nieśmiertelność twórców ma dwóch wrogów: życie i śmierć, i że życie i umieranie są właściwie tym samym. Dzieła ludzkie przeniknięte myślami i uczuciami swych twórców dożywają czas jakiś po ich śmierci - póki trwa czy też raczej "zamiera" w nich ten element duchowy - "resztką" duchowości autora. W tym sensie i tylko w tym sensie dzieła i twórcy są czas jakiś nieśmiertelne, póki ich "życie i śmierć się nie rozdzieli". Rozdział oznacza zagładę ostateczną - tak jak zagładę ognia jest odjęcie od włókien kłosa spalającego je płomienia. To ostatnie, niezbyt filozoficzne porównanie można zastąpić innym, starczy tylko przypomnieć sobie, że w niektórych tekstach Piłsudskiego słowo "Bóg" oznaczało gorzącą w nas siłę życia. Śmierć każdego człowieka byłaby zarazem śmiercią Boga w człowieku.

Jednostka ratuje swą duchowość, swą indywidualność o tyle, o ile potrafi ją zamknąć w dziełach

przekraczających jej życie, o ile ją potrafi uchronić. P o z a s o b a, w naczyniu bardziej trwałym. W tym znaczeniu agonია ludzi wielkich trwa dłużej, trwa po śmierci ich ciał obejmując pamięć i dzieła. Jest ona dokładnie tym samym, czym tzw. "życie pośmiertne", z tym, że żyjący tym życiem nie zdają już sobie z tego sprawy. W przypadku ludzi wielkich, złożonych w wawelskiej katedrze "życie pośmiertne" będzie trwać "tak długo aż murów Wawelu nie naruszy czas zniszczenia, a skała, która samotna nad Wisłą stoi, nie ulegnie śmierci". Wieczność ludzka jest względna //1/. Śmierć materii, w którą wtopiony był duch Słowackiego, śmierć jego grobowca i jego dzieł będzie ostateczną i doszczętną śmiercią poety. Będzie też ostateczną i doszczętną śmiercią tego pierwiastka boskiego, który łączył się z jego imieniem. Podobnie stopniowa i wielokrotna śmierć czeka wszystkich ludzi - co do tego Piłsudski nie ma złudzeń. Myśląc o śmierci, mówi: "Patrzę w dal, z której się nie wraca".

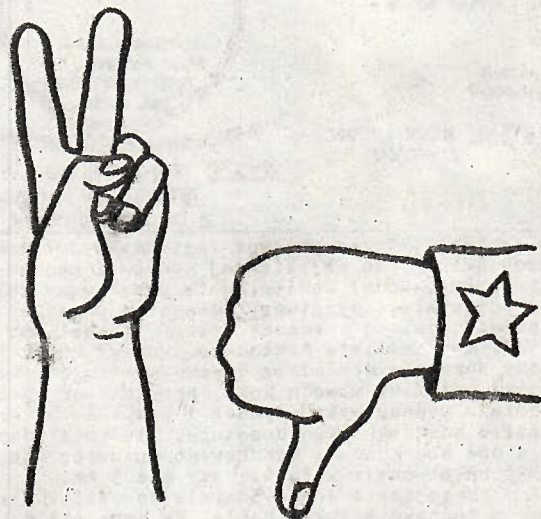
5.3. Powiedzieć, iż czyn po prostu jest wyrazem zdrowia, to zubożyć myśl Piłsudskiego odbierając jej wymiar etyczny. Piłsudski wyraźnie wyodrębnia c z y n y ludzkie odróżniając je m.in. od "czynności". Te ostatnie dotyczą życia codziennego, sfery ludzkiej biologii, czynu natomiast to działania podporządkowane wartościom wyższym niż samo-przemijające, spalające się - życie. W ten sposób czyn uczestniczą w czymś transcendentnym, wiecznym i w ten sposób współtworzą ową wieczność - być może, jedyną, jaka jest: ludzka i przemijająca. Wieczność, w której żyje Słowacki, w której trwa czyn Traugutta i bohaterstwo Warnieńczyka. Taką właśnie - przemijającą - wieczność miał Piłsudski na myśli, kiedy mówił: "Są ludzie i są prace ludzkie tak silne i tak potężne, że śmierć przewyciężają, że żyją i obcuja między nami... Śmierci prawa są w ten sposób przewyciężona. /Słowacki/ jest nam żywym znajomym i żywa znajomość Słowackiego staje się coraz powszechniejsza i coraz szersza, tak że ma znajomych więcej, niż miał ich za życia. Gdy wzmęć odwrotnie i policzyć kilkanaście milionów Polaków, wśród których żył Słowacki, co z nich pozostało? Nie mają oni imienia, ani nazwiska /.../ wymarli lub wymierają".

W tym eschatologicznym - wymiarze czyn, zdobycie imienia jest jedyną formą przeciwstawienia się czasowi, to znaczy śmierci. Śmierć bowiem - powtórzmy to raz jeszcze - nie jest b y t e m czekającym nas gdzieś w przyszłości, jest raczej - jak u stoików - czymś, co idzie za nami tuż po naszych śladach i usiłuje ją zdeptać. Jest niepamięcią. Myśląc o dali, z której się nie wraca, Piłsudski patrzył w przeszłość.

1/ Dla zaokrąglenia wywodów włączyłem w tym miejscu cytaty z wygłoszonego 29.VI.1924 r. odczytu "Demokracja a wojsko".

BOHDAN URBANKOWSKI

/Tekst drukujemy bez wiedzy i zgody Autora/



podziękowania:

w tym r. KARYSA V - 1,0 WŁOŹĘGA IV - 1,24